



Do art. „DWORY, ZAMKI i PALACE“.



ZAMEK W BĘDZINIE

fol. L. Ostaszewski.



Soboty i sobótki. ²⁾

Polskich świątyń pogańskich nie znamy, ale znamy dość dokładnie świątynie pogańskie słowian zaodrzańskich, najbliższych nam nie tylko siedzibą, ale także językiem i krwią, więc przypuścić wolno, że to, co u nich w 150 lat później widzimy, niewiele chyba odbiega od tego, co było u nas. A jakże się te świątynie przedstawiają.

Jak od wyrazu pusty mamy wyraz pustynia „miejsce puste”, tak od świątynia jest świątynia; więc świątynia to pierwotnie nie jakiś budynek, lecz tylko „miejsce święte”. Bo też jak u innych ludów aryjskich (a i niearyjskich), tak i u słowian nie było pierwotnie świątyń budowanych; zastępowały je gaje święte, w których czczono pewne drzewa święte jako miłe bogom siedliska, a posągów nie było żadnych. Składano tam ofiary i odprawiano modły, tudzież przechowywano symbole bogów jako znaki wojenne, które w razie wojny zabierano i pod ich ochroną walczone. Tak jest jeszcze u germanów za czasów Tacyta ¹⁾: tak było u słowian. Z czasem dopiero poczęto wznosić na miejscach świętych, zwykle wśród gajów świętych, budowle poświęcone bogom, ale tradycyjnie przechowywano nadal także dawny zwyczaj czczenia bóstw t. j. gaje święte bez świątyń budowanych.

U słowian zaodrzańskich w czasach zupełnie historycznych i historycznie dobrze nam znanych znajdujemy oba rodzaje, a na szczęście posiadamy nawet całkiem dokładne opisy jednego i drugiego rodzaju świątyń. Najszczegółowiej opisany jest gaj święty P r o w e g o w ziemi starogrodzkiej (dzisiaj Oldenburg) koło Holsztynu, tudzież świątynie w Retrze u obotrytów, w Arkonie na Rugii i w Szczecinie.

„Zdarzyło się zaś, — opowiada naoczny świadek Helmhold (wiek XII) — że w drodze przybyliśmy (z arcybiskupem Hartwigiem) do lasu jedynego w owej ziemi, cały kraj bowiem jest otwartą płaszczyną. Tam obaczyliśmy pomiędzy bardzo starymi drzewami święte dęby, poświęcone bogu owej ziemi P r o w e m u, otoczone podwórzem, które opasywał parkan, starannie z drzewa zbudowany i mający dwie bramy. Prócz bowiem bogów domowych i posągów, w które każde miasto obfitowało, było to miejsce świętością dla całego kraju i miało dla siebie arcykapłana, uroczystości i różne obrządki ofiarne. Tam drugiego dnia każdego ty-

godnia lud tego kraju z kapłanem i księciem zwykle zbierali się na sądy. Wejście na podwórze było wszystkim wzbronione oprócz tylko kapłana i przynoszących ofiar lub tych, którzy byli w niebezpieczeństwie życia; takim bowiem nigdy nie odmawiano przystępu. Taką zaś cześć mają słowianie dla swych świętości, że obręb świątyni kazać krwią nawet w czasie wojny wzbraniają”. Poza podwórzem, a raczej w środku niego, było drugie ogrodzenie, otaczające „święte dęby”. „Gdyśmy przybyli do owego gaju i miejsca bezbożności — rozpowiada dalej Helmhold — biskup nakłonił nas, byśmy odważnie przystąpili do zniszczenia gaju. Sam też zeskoczywszy z konia, zbił drągiem frontowe ozdoby bramy, i gdyśmy weszli na podwórze, zniszczyliśmy całe urządzenie podwórza koło tych świętych drzew i z kupy drzewa ułożywszy stos, podłożyliśmy ogień nie bez obawy wszakże, by na nas nie wpadły kupy mieszkańców; lecz Bóg opiekował się nami.”¹⁾ Znaków wojennych już tutaj niema, ale gdyby były, znajdowałyby się pod świętymi dębami, bezwątpienia pod jakimś nakryciem, bo niepodobna przypuścić, żeby tak święte rzeczy, a może nieraz i kosztowne, były zostawione bez nakrycia i oddane na niszczące wpływy atmosferyczne. Niema tu zresztą nic, nawet żadnej straży; kapłan mieszka widocznie w najbliższej wiosce czy dalej w mieście, dlatego ani on ani mieszkańcy wioski nie mogą zapobiedz temu, co czyni biskup Hartwig z ich świętością. Tak się przedstawia najpierwotniejsza świątynia słowiańska, gaj święty.

Z budowanych świątyń znamy dokładnie, jak zaznaczyliśmy wyżej, świątynie w Retrze, Szczecinie i Arkonie, ale plan sytuacyjny znamy najlepiej świątyni arkońskiej, więc nią musimy się zająć.

Arkona to miasto, które widocznie z czasem dopiero powstało z powodu świątyni. Miasto leży na samym zachodnio-północnym cyplu wyspy Rugii. Od morza chroni je brzeg tak wysoki, że strzała, z łodzi na morzu wypuszczona, do wierzchołka nie doleci! Z tej strony więc było z natury warowne, od lądu zaś zasłania je rów i potężny wał. Wchodzi się do niego przez wysoką bramę, raczej wieżę drewnianą, na szczycie której widnieją zdaleka sztandary wojenne, a między nimi święta chorągiew

¹⁾ Helmolda Kronika słowiańska z XII wieku, przełożona z języka łacińskiego na polski przez Jana Pappońskiego (Warszawa 1862) str. 192—193.

¹⁾ Tacyt. Germania c. 7.



państwowa „stanica”. Za wałami miasto, w środku jego równina, a na niej świątynia. Obręb świątyni otacza parkan z udatnemi rzeźbami i malowidłami. W parkanie jedno tylko wejście na dziedziniec świątyni, gdzie jak w gaju Prowego dostęp dozwolony tylko składającym ofiarę i naturalnie stronom spór wiodącym, bo te spór opłacały, a pewna część tej opłaty przypadała jako ofiara świątyni. Świątynia sama drewniana, bardzo pięknie zbudowana, ma ściany i dach, który jest na czerwono pomalowany, — ale to jeszcze nie samo miejsce najświętsze. Dopiero poza temi ścianami, pod tym samym dachem i tą samą powalą w pewnem oddaleniu od ścian cztery słupy, od ziemi do powały sięgające, po parze naprzeciwko siebie, a między nimi od powały do ziemi pospuszczane kobierce. Tworzyła się w ten sposób w środku świątyni pod jej powalą kaplica, którą można było obejść dokoła. Wszedłszy drzwiami do świątyni, wchodziło się do przedsionka, który formowało właśnie owo wolne miejsce między ścianami świątyni a samą kaplicą. Odchyliwszy którykolwiek kobierce, wchodziło się do kaplicy, gdzie był posąg boga Świętowita, siodło jego, uzda, wspaniały miecz, w przedsionku zaś wielce bogaty skarbiec, liczne trofea wojenne i przybory ofiarne. Do świątyni i tej kaplicy wchodził tylko sam najwyższy kapłan, lecz i on mógł tutaj zatrzymać się tylko tak długo, jak długo mógł wytrzymać bez odetchnięcia, bo niewólnie było ludzkim oddechem kazić powietrza, którem sam bóg oddychał. Tak wygląda świątynia arkońska, a z opisem jej zgadzają się najzupełniej opisy innych świątyń budowanych, tylko że opisy ich, jak już wyżej zazaczyłem, nie podają tak dokładnie planu sytuacyjnego.

O sobotach tedy przy tych świątyniach lub czemś podobnem niema najmniejszej wzmianki. Na dziedzińcu świątyni niema nawet żadnych zabudowań kapłańskich, są one widocznie poza obrębem świątyni; w mieście nawet słynny święty koń Świętowita tam gdzieś w stajniach kapłańskich ma pomieszczenie, a na dziedzińcu świątyni wprowadzają go dopiero, gdy mają zapomocą niego wróżyć. Skoro więc o jakichkolwiek podcieniach przy świątyniach naszych pogańskich niema najmniejszej wzmianki, to niepodobna twierdzić, że były, a wobec tego należy tylko odpowiedzieć na szereg pytań, jakie się z tej przyczyny nasuwają.

Helmhold i Saxo Gramatyk opowiadają mianowicie, że święta uroczyste oznaczali kapłani za pomocą losów, i na niektóre z nich zbierała się ludność zdaleka i zbliska (czasem z całej prowincyi) z żonami i dziećmi, a wtedy składano ofiary, ucztowano i pito aż do upicia się, bo rozumiano, że przez to oddaje się cześć bogom.¹⁾ Pytanie

¹⁾ Helmhold l. c. 127. Saxo Gramaticus l. c. 565.

więc, gdzie odbywały się te nabożeństwa, gdzie składano ofiary, gdzie ludność ze złożonych ofiar i przywiezionych zasobów wyprawiała sobie ucztę i zabawę i gdzie ewentualnie nocowała, jeżeli uroczystość i uczta zajęły więcej, aniżeli jeden dzień?

Na niektóre z tych pytań daje bardzo stanowczą odpowiedź opis takiej dorocznej uroczystości słowiańskiej, przedstawiony przez Saxona Gramatyka, a więc nim musimy się przedewszystkiem zająć.

„Uroczyste zaś nabożeństwo na cześć jego (Świętowita) — rozpowiada Saxo — tak się odprawia: raz do roku po dokonanych zbiorach wielkie mnóstwo ludzi obojga płci z całej wyspy Rugii, złożwszy ofiary z bydła, pod imieniem nabożeństwa solenną przed świątynią bożka odprawiało ucztę. Kapłan tegoż (bożka), wbrew ogólnemu zwyczajowi narodowemu z zapuszczoną brodą i długimi włosami¹⁾, czyścił w wilię nabożeństwa bardzo starannie za pomocą miotły kaplicę, do której sam jeden tylko miał wstęp, przestrzegając ściśle tego, żeby w świątyni nie oddychał; ilekroć zatem chciał odetchnąć, wybiegał przed drzwi świątyni, widać dlatego ażeby obecność boska niekaziała się w zetknięciu z oddechem śmiertelnych. Nazajutrz więc, gdy lud był zebrany, przeciw drzwi świątyni wynosił z niej (kapłan) puhar wyjęty z rąk boga²⁾ i przypatrywał mu się ciekawie; jeżeli co ubyło z nalanego (zeszłego roku) napoju, przepowiadał niedostatek w roku następnym, co zaznaczywszy, zalecał ze nagromadzonych zbiorów czynić zapasy na przyszłość. Jeżeli nic nie ubyło ze zwyczajnej zawartości puhara, przepowiadał, że nadejdą czasy żyzności pól. I stosownie do przepowiedni co do następnego roku zachęcał już to do oszczędniejszego, już to do swobodniejszego używania darów bożych. Wylewał następnie dawne wino jako ofiarę u stóp posągu, a wypróżniwszy puhar, nalewał świeżem — i uczciwszy posąg udanem przypiciem do niego, błagał w uroczystych słowach o wszystko dobre dla siebie i ojczyzny, o pomnożenie potęgi i zwycięstw dla społeczeństwa; co wypowiedziawszy, przytykał łapczywie puhar do ust i wypróżniał go jednym tchem, poczem napełniwszy winem wkładał (odniósłszy) w prawicę posągu. Składano także w ofierze placek z miodem upieczony kształtu koliastrę³⁾, a tak wielki, że dorównywał wysokości człowieka. Ten stawał kapłan między sobą a ludem, zapytywał, czy go widzą, a gdy odpowiedzieli, że go widać, wypowiadał życzenie, żeby po roku nie mogli go zobaczyć. Ży-

¹⁾ Słowianie zaodrzańscy golili brodę i strzygli włosy.

²⁾ Posąg Świętowita dzierzył w prawicy puhar.

³⁾ A więc koliastrę.



czenie zaś to nie miało na myśli losu jego albo narodu lecz pomyślność przyszłych zbiorów. Błogosławił następnie imieniem boga zebrane tłumy, i zachęcając je do dalszej jego czci przez pilne składanie ofiar podług przepisanej obrządku, obiecywał jako najpewniejszą za to nagrodę zwycięstwa na lądzie i na morzu. Czego w ten sposób dokonawszy, resztę dnia zbytkowi przy obfitej uczcie poświęcając,

same przedmioty ofiary na pożytek podniebienia i gardła obracają, gdyż złożone bogu ofiary służą ku ich zbytkowi. A w uczcie tej przebrać miarę uchodzi za rzecz zbożną, zachować ją za grzech".¹⁾

(CDN)

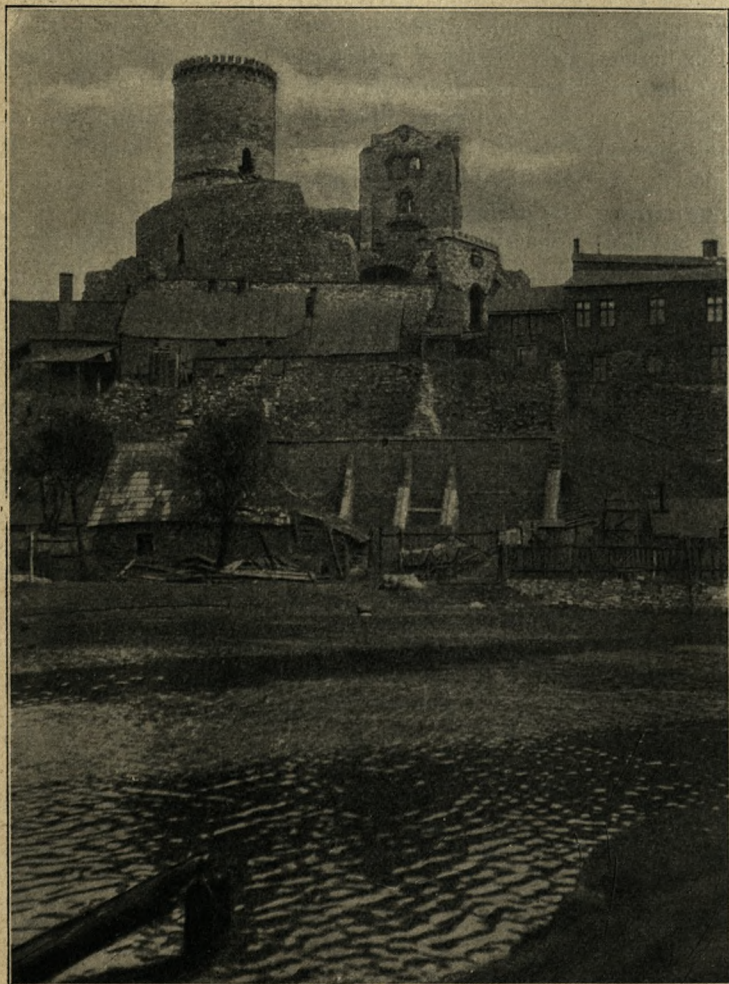
S. Matusiak.

¹⁾ Saxo gram. l. c. 565—566.



DWORY, ZAMKI i PAŁACE.

32. Zamek w Będzinie.



Są cztery miejscowości, położone blisko siebie: Będzin, Czeladź, Małobądz, Zagórze, a z powodu ich nazwisk powstało podanie, że jakiś książę miał powiedzieć: „My tu będziemy, tam—czeladź, a jeśli mało będzie (miejsca), to za górą”.

Będzin lub Bendzin leży nad Czarną Przemszą. Stojący tu dziś w ruinach zamek odnosi swe powstanie do połowy XIII wieku. W XIV wieku umocniono go i przerobiono, a na miasto nałożono obowiązek, żeby na każdą dowodzoną wyprawę wójt będziński występował na dobrym koniu, z kuszą, w pancerzu, czapce lub szyszaku.

Był Będzin punktem ważnym z powodu ówczesnych zatargów z książętami śląskimi, którzy często najeżdżali zbrojnie pograniczne okolice. Tutaj też zawarto z nimi ostateczną ugodę w XV wieku. W XVI i XVII stuleciach upamiętnił się też Będzin pobytami wybitnych osobistości i paktami tu właśnie zawieranymi.

W pierwszej połowie b. w. b. Bank Polski powziął był zamiar założenia tu szkoły górniczej, a przeto skrzętnie poczęto odnawiać zamek, aby pomieścić w nim zakład naukowy. Jednakże zamiar ów nie przyszedł do skutku.

Z oddalenia pięknie się przedstawia zamek będziński, panujący

fol. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.



DWÓR STAROŚCIŃSKI W GZICHOWIE POD BĘDZINEM

fol. L. Ostaszewski.

nad miastem; ten widok najwięcej ma powabu od strony wschodniej, od Gzichowa. Rzekłbyś, że to nie ruina. Ale zblizka brakuje tutaj uroku, jakim tchnie poważna ruina siewierska. Na będzińskim zamczysku poprzylepiano do murów jakieś nędzne chałupy, około których uwijają się zwierzęta domowe, a wszędzie pełno śmieci, brudu.

Od południa i wschodu jest tu opasanie z muru i w jego południowej części—ostrołukowa brama, a nad nią szereg takichże okien. Właśnie poza tą bramą sklecił ktoś lepiankę; kozy pasą się na walach zamku i kury odbywają wycieczki w dziedzińce zamkowe. Za tym murem opasującym są właściwe mury zamku, odnowionego 1834-go r., jak opiewa wyryty napis.

Pierwotnym materiałem budowlanym był, zdaje się, kamień, a cegły używano przy odnowie. Wszystkie otwory zachowują miłą dla oka prawidłowość. Łukowate okna mieszczą się tu w ścianach parami, jedno tuż przy drugim; pod nimi i nad nimi jedno łukowate, a niekiedy kwadratowe okno; w najwyższym piętrze łukowate okna nie parami, ale trójkami są przy sobie.

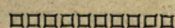
Na dziedzińcu zamkowy z wielką oszczędnością odmierzano przestrzeń. Północną część zamku wieńczy okrągła baszta, ozdobnie u góry ząbkowana; naprzeciwko baszty w stronie południowej znajduje się główna część, gdzie były zamkowe komnaty.

Podania, fantastyczne mity, nie mają w Będzinie takiego płodnego gruntu, jak w Siewierzu, gdzie one bujają, rozwijają się bądź w pełną humoru anegdotę, bądź w dramatyczną powieść. Wśród ożywionego ruchu handlowego trudno byłoby wynaleźć tutaj taką pyszną postać pana Wyderki, charakterem swoim przypominającą styl zamkowy.

O Będzinie siewierzanin wyraża się z pewnym podziwem: „Ho, ho, Będzin, to miasto z koleją żelazną!” Mieszkaniec Będzina z lekceważeniem mówi o siewierzanach: „Te siewierskie łyki handlują świniami i gęsiami do Prus, a na jarmarkach u nich sprzedają się same kradzione konie”. Pierwotny charakter mieszczański siewierzan, dosyć starannie przechowany, przebija już w owej bucie i nienawiści, z jaką oni staczą istnie homeryczne walki z sąsiednimi chłopami, brudzewiakami. W Będzinie łatwo się spotkać z rzezimieszkiem, z ulicznym opryskiem.

Zarówno na nizinie stojący zamek siewierski, jak i na górze osiadły będziński leżą w okolicy pełnej piaszczystych wzgórz i wydm, dosyć lesistej, ponętnej, a z nieznaczną kulturą rolną.

Adolf Dygasiński.





W JASTARNI.



JASTARNIA—WIDOK OGÓLNY

rys. Wł. Natęcz.

Wysoce zainteresowany wycieczką „Wisłą do Gdańska”, urządzoną przed paru laty staraniem Towarzystwa Krajoznawczego, niezmiernie żałowałem, iż nie udało się nam wtedy dotrzeć do prawdziwych kaszubów, co było w planie podróży.

Hela okazała się niemiecką osadą, jedyną zresztą na całym półwyspie Helu, okalającym od północo-zachodu zatokę Gdańską. Dopiero o szesnaście kilometrów dalej, zaczynają się wsie kaszubskie, nasze, żywe, polskie.

Otóż w tym roku inną ułożyłem marszrutę. Postanowiłem od razu zatrzymać się dłużej w Jastarni — głównej osadzie rybackiej na półwyspie Helu.

Do Gdańska przyjechałem pociągiem bezpośredniej komunikacji z Warszawy przez Mławę i Iłowo. Połączenie kolejowe jest doskonałe — po dziewięciu godzinach podróży wysiada się w Sopotach. Wobec tego kwestya bojkotu Sopot upada całkiem: Warszawa nie może się obejść bez morza tak blisko położonego, gdzie się ma możność odpocząć w cudownym morskim powietrzu po trudach i gorączkowym życiu wielkiego miasta. Chodzi jednak o to, podług mego zdania, aby unikać przeludnionych Sopot, a docierać o kilka mil dalej, do wsi kaszubskich, gdzie się znajdziemy wśród swoich. Prawda, że tam niema kurortów i wykwintnych hoteli, a li tylko schludne gospody, i że trzeba się zgodzić na życie skromne. W miarę jednak popytu moglibyśmy stworzyć swoją polską miejscowość kuracyjną; chodzi tylko o odwiedzanie tego tak niesłusznie zapomnianego zakątka dawnego Pomorza, dawnego kawałka ziemi polskiej. Najwięcej nadają się do założenia przyszłego letniska nadmorskiego dwa punkty — Karwia i Jastarnia.

Pierwsza—jest to wieś prawdziwie kaszubska, przeważnie rybacka,—najdalej wysunięta na północ nad Bałtykiem placówka swojska. Fale ma większe aniżeli Sopoty, procent soli w wodzie

znaczniejszy, morze żywsze — oto przewaga samego terenu. Dodać do tego trzeba szerokie, twarde, czyste, powoli opadające wybrzeże, najodpowiedniejsze do morskich kąpeli. Są i zaczątki przyszłych hoteli — dwie gospody, w których można dostać znośnego pożywienia.

Droga—koleją rano o godz. 7 z Sopot przez Redę do Pucka, a stąd kolejką krokowską do

Sławoszyna, gdzie stajemy o godz. 9 i pół rano; od Sławoszyna niecałe sześć kilometrów do Karwi.

To dla osób, które się obawiają podróży morskiej, dla odważniejszych zaś, niema jak półwysp Hel z czysto polskimi osadami Jastarnią, Borem, Kusfeldem (Kuznice), Chałupami! Prawda, że trzeba odbyć trzy i pół godzinną podróż morzem, co czasem przy wzburzonym morzu bywa rzeczą nieprzyjemną. Ja jednak nie mogłem się uskarżać—podróż mi się udała—morze było spokojne i w oznaczonym terminie wylądowałem bez przygód we wspomnianej wyżej osadzie niemieckiej Heli.

Tu jednak zaczynały się trudności co do dalszej podróży, gdyż być może i w projektach rządu pruskiego leży, aby Kaszuby były zapomniane—osobliwie przez Polaków. Inaczej trudno wytłumaczyć sobie, iż o ile starano się podnieść Hel,¹⁾ bez wielkiego zresztą powodzenia, o tyle nic nie zrobiono dla Jastarni. Połączenie Gdańska z Helą niemiecką jest uregulowane przez parowce, trzy razy dziennie kursujące tam i z powrotem.

Wybudowano tu duży kurhauz, wygodną przystań, hotele, które nie są jednak przepelnione jak w w Sopotach, leżących z drugiej strony zatoki. Dla Jastarni polskiej nie zrobiono nic. Statki tu nie dochodzą, przystani niema — jednym słowem, żadnej zachęty i atrakcyi dla letnich gości.

Jedyna, zdaje mi się, para koni w Heli, należy do właściciela wędzarni — Niemca, który też nadużywa swojego monopolu. Zapłaciłem mu tyle za wynajęcie wozu do Jastarni — odległej o szesnaście kilometrów od Heli, ile mnie kosztowała cała podróż od Warszawy do Gdańska. Ale nie było rady.

W dżdżysty pochmurny dzień ruszyliśmy

¹⁾ Hela—nazwa niemiecka. Hel—nazwa polska. (Przyp. autora).



przez lasy. Droga dobra, miejscami piaszczysta, — całe 16 kilometrów lasem, a przy wsi Borze — brzegiem „małego morza”.

Gdy droga skręciła w lewo — z lasów do brzegu morza, ujrzałem schludne, czyste, murowane domki Boru — pierwszej z tej strony osady, czysto kaszubskiej. Jakby na przywitanie słońce oświeciło pochmurny dotąd krajobraz, i omyte deszczem czerwone dachówki i mury domów zajaśniały gorącymi plamami na tle ciemnego lasu sosnowego.

Byliśmy nareszcie wśród swoich. Przejechałem przez piaszczyste uliczki Boru (bo o brukach tu niema nawet mowy, a zresztą — i potrzeby) i stanąłem w Jastarni.

Przy wjeździe do osady wita pod lasem stojący, piętrowy, murowany hotel „pod morską mewą”, p. Józefa Muzy — gdzie też i rozłożyłem swoje penaty. Miałem duży, wygodny pokój o trzech oknach z widokiem na zatokę Gdańską, czyli na „małe morze”, jak je rybacy nazywają.

Na drugi dzień zrana pośpieszyłem na studia na brzeg, gdzie stały w malarskim nieładzie, tworząc zresztą malownicze partye, stare „kutry” i „boty”.

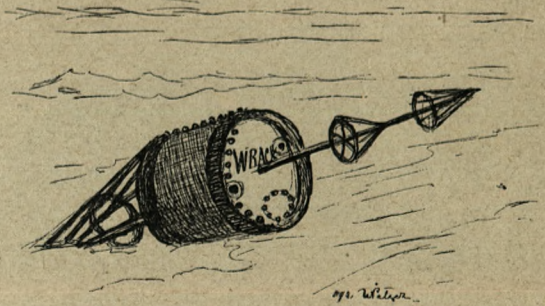
Tu muszę wytłómaczyć różnicę między tymi dwoma typami statków, tem bardziej, że lepszych nazw, zdaje się, nie mamy w mowie naszej a obecne niewątpliwie są pochodzenia obcego.

Okazuje się, że to łódź mniejsza, o trzech żaglach, z których główny największy nazywa się „gafla”, drugi nad nim trójkątny, najmniejszy, pod szczytem masztu, nazywa się „topk”, a trzeci na przodzie „fok”. Obsługa łodzi składa się z trzech ludzi. Na tych botach rybacy wyjeżdżają na połów ryb.

„Kuter” zaś — jest to znacznie większa łódź z wielkim żaglem, z podwójnym dnem czyli pokładem, gdzie jest i mała kajuta na końcu łodzi; pośrodku urządzony zwykle bywa zamykany na klucz basen z wodą do przewożenia ryb żywymi. Na tych właśnie kutrach rybacy nasi przywożą ryby na targ do Gdańska, zwykle dwa razy na tydzień.

Właśnie był dzień targowy i pora odpłynięcia do Gdańska. Zaledwie ustawiłem stalugi i rozpocząłem swój szkic, zaczęli się zbliżać i przechodzić koło mnie rybacy i rybaczki, czyli tak zwane „hohorki”, uginające się pod ciężarem wysokich koszów na plecach z rybami. Mężczyźni przewozili ryby na małych wózkach podręcznych. Lud rośli, dzielny, wesoły. Wszyscy uśmiechali się i witali mnie gościnnie staropolskim „Boże dopomóż”.

Przyjemnie było patrzeć, jak sprawnie, szybko i zręcznie wykonywali wszystkie czynności ładowania łodzi i odpłynięcia, co nie było tak łatwe. Jak zaznaczyłem już wyżej — żadnej przystani tu niema,



„NAGROBEK MORSKI“

rys. Wł. Natęcz.

a woda płytka — tak że „kutry” stoją na kotwicach w znacznej odległości od brzegu. „Maszopi” radzili sobie nie narzekając. Mężczyźni w dużych nieprzemakalnych butach brnęli po wodzie, popychając przed sobą wózki z rybami, inni zaś obyczajem rybackim brali na plecy „hohorki”, nie chcąc zamoczyć swojego obuwia, i przynosili je na łodzie, które podpływały do „kutrow”. Coraz częściej słychać było trzepotanie podnoszonych i rozwijających się żagli i wkrótce cała flotylla, jak stado mew, pociągnęła w ukośnej linii do Gdańska.

Scenka przedemną była czysto morska, malownicza, a tem droższa, że swojska, z życia rybaków, których dotąd nie znałem.

Okazuje się, że ci dzielni rybacy — marynarze z Jastarni, są to częściowo potomkowie rozmaitych „Kmiciców” — warcholów-szlachciców, którzy ongi, uciekając przed kondemnatami czyli wyrokami sądowymi, tu znajdowali spokojne schronisko. Obecnie potomkowie ich są to spokojni i odważni rybacy, dumni ze swojego zawodu; — małżeństwo, naprzykład, z niewiastą z lądu uważają tu za pewien mezalians.

Wspomniałem wyżej o „maszopach”, więc muszę wytłómaczyć — co to znaczy „Maszoperya” — słowo wzięte z holenderskiego — jest to związek rybacki dla wspólnego działania i samopomocy. Każdy członek maszoperyi obowiązany jest dostarczyć pewną ilość sieci i narzędzi rybackich. Połów składa się w ręce „szyprów” czyli starszych, którzy z matematyczną niemal dokładnością dzielą ryby na równe części wśród stowarzyszonych. Ksiądz i nauczyciel również należą do działu. Wdowy zaś i małoletnie dzieci, pozostałe po maszopach, dostają połowę udziału męża i ojca. W ten sposób „maszoperya”, opiekując się słabszymi, zapobiega nędzy oraz żebraniu. Jest to więc doniosła instytucja w życiu naszych rybaków, gdyż morze, karmiąc tyłu, od czasu do czasu pochłania też swoje ofiary. Tak się stało w zimie roku zeszłego ze szwedzkim parostatkiem, którego czarną sylwetę wystającą ponad wodą widzę niedaleko brzegu o kilka kilometrów od Jastarni.



BÓR—WIEŚ NA HELU

rys. Wł. Natęcz.

W ponurą, grudniową noc rzucony na mieliznę, został prawie na dwoje przelamany falami. Podczas mojego pobytu właśnie pracowano około niego, aby uratować co się da. Stary rybak jednak, z którym rozmawiałem o statku, bardzo pesymistycznie zapatrywał się na tę robotę. „Piasek” powiada „coraz więcej zaciąga kadłub, a przyjdą „wały” i rozbiją statek do reszty”.

Przy samej Jastarni, również przeszłej zimy, rozbił się drugi szwedzki parowiec „Archimedes”, przyczem kilku ludzi zginęło z zimna i wyczerpania, reszta załogi ocalała.

Są i grobowce, zwyczajem marynarskim, na miejscach zatonięcia statków. Jest to wielka beczka metalowa ze sterzącym szpicem na latarkę, a łańcuchem umocowana na kotwicy, rzuconej w miejscu rozbitego okrętu. Taki właśnie pomnik umieszczono nad biednym „Archimedesem”. Bezcza jest malowana jaskrawo, aby była widoczna zdala, — napis angielski „wrecked”.

W czasie mojej bytności po pewnym dniu burzliwym morze zerwało z łańcucha i wyrzuciło ten pływający grobowiec na brzeg. Skorzystałem ze sposobności, aby zrobić szkic odpowiedni, który tu dołączam.

Te ciągle niebezpieczeństwa, jakim podlegają marynarze na morzu, wyrabiają z nich ludzi wysoce religijnych. I rzeczywiście nieraz tylko opieka Stwórcy czuwa nad naszymi rybakami. W niedzielę wygląd Jastarni i przyległych osad Boru i Kusfeldu zmienia się nie do poznania. Jedyna to parafia czysto rybacka, gdzie nieraz nieboszczyka wiozą na łodzi dla wygodniejszej drogi, — jedyny cmentarz, gdzie leżą sami rybacy polscy.



CMENTARZYK RYBACKI W BORZE

rys. Wł. Natęcz.

O ósmej zrana przybrani odświętnie, ale nieco za poważnie, bo czarny kolor dominuje, wszyscy ciągną do kościoła. Mężczyźni zasiadają w kościele po lewej stronie, niewiasty po prawej i zaczynają unisono śpiewać różaniec i litanię do Matki Boskiej — opiekuńki rybaków.

Rytm śpiewu nieco monotony, lecz wręcz odrębny, przypominający miarowe kołysanie łodzi na morzu. Rytm oryginalny — tu zdaje się tylko przechował się i zasługuje, aby który z naszych historyków muzyki i kompozytorów zwrócił na to bacniejszą uwagę.

O dziesiątej zaczyna się suma, kazanie i nabożeństwo po polsku. Wszyscy się modlą gorliwie. Po południu rozchodzą się na obiad, a o trzeciej zaczynają się nieszpory, — dzień cały zatem poświęcony jest tutaj Bogu.

Wieczorem tylko młodzież zbiera się w gospodzie i przy szklaneczce „bajerszu” (lekkiego piwa) i niewybrednej muzyce tańczą ochotczo.

Lecz i tu skromność i surowość obyczajów jak i we wszystkim odegrywa swoją rolę.

Przedewszystkiem, najczęściej mężczyźni tańczą sami ze sobą. Ulubionym tańcem jest tu znany „diuk-wiwat” — rodzaj polki. Ze szklankami „bajerszu” dwaj tańczący przyskakują do siebie, obracają się, przytupują, ciągle trzymając szklanki w rękę, a obecni, otaczając kołem tańczących, sekundują im i zachęcają.

Niewiasty raz na miesiąc zaledwie przyjmują udział w tych tanach — częściej nie wypada. Późem dość wczesnie rozchodzą się, gdyż ze świtem trzeba wyruszać na morze na połów.

Wstrzemięźliwi są wielce, więc i tej plagi społecznej — alkoholizmu, nie ma tu również.

W lecie słynie odpust w Swarzewie, na który z Jastarni wyrusza procesja; — prawie cała wieś idzie piechotą przez cały półwysep. Po drodze przyłączają się pobożni z Kusfeldu, Chałup, Wielkiej wsi — i wszyscy do-

cierają nareszcie do Swarzewa, odległego o jakie pięć mil od Jastarni.

Niedaleko kościoła w Jastarni — tuż zaraz za wsią, mieści się i cmentarz — jedyny w całej Polsce, gdzie leżą sami rybacy. Cmentarz położony



„HOHORKA“ NIOSĄCA RYBY rys. Wł. Natęcx.

Lasy te za czasów polskich nazywały się i były królewskimi. Obecna gospodarka leśna prowadzona jest, trzeba przyznać, doskonale. Dla wzmocnienia przybrzeżnych piasków ciągle się sadi „charszcz” i specjalne osty, wzmacniające korzeniami piasek. Za zerwanie tych roślin grozi kara do sześćdziesięciu marek.

Osty te przeważnie są sadzone od strony „wielkiego morza”, które posiadając silniejszą i częstszą falę, więcej objawia zaborczego charakteru. To też rybacy skarżą się, iż szczególnie jesienią zalewa ono daleko piaski wybrzeża, i sięgając do pasa żyznej ziemi, uszczupla coraz bardziej ich lasy i pastwiska.

Domy mieszkalne mieszczą się na Helu zawsze od strony zatoki, t. j. tak zwanego „małego morza”, które jest spokojne i płytkie, szczególnie od brzegu; nie posiada ono prawie wcale fali, a wiatr przeważnie dmie od strony północnej lub północno-zachodniej, od której wsie są osłonięte pasmem wzgórz lasem porośniętych.

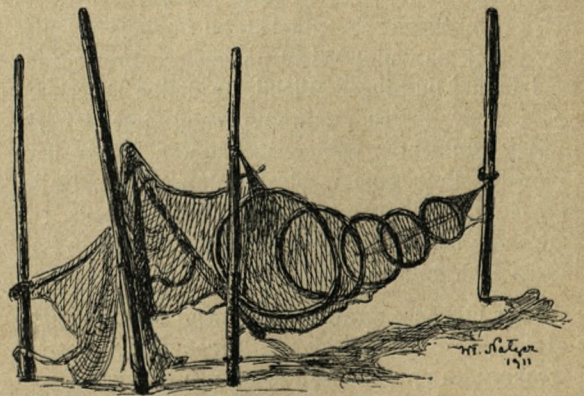
śród „diun” i otoczony jest lasem. Mogiły zrównane z ziemią, nietak jak u nas, a to z tego powodu, iż wiatry tu panujące wywiałyby i rozdmuchały nasypy. Otóż dla utrwaleń gruntu rząd, do którego należą lasy na całym półwyspie — energicznie ich bro- ni.

To też malarski charakter obu tych części Bałtyku różni się zasadniczo; o ile zatoka przedstawia przeważnie gładką taflę wody, rzadka niewielką falą poprzecinanego, o tyle pełne morze jest zmienne jak kameleon i daje coraz inny widok w przeróżnych porach dnia. Jasne, przejrzyste i chłodne w mgłach poranku, ciemniejsze i nabiera głębszych tonów po południu. Najpiękniejszy jednak widok przedstawia pod wieczór, kiedy tarcza słoneczna chyli się ku zachodowi i ozłaca swymi promieniami toń morską. Czasem słońce chwilowo kryje się za chmurę, a wówczas leją się blaski rude, które pokrywają fale barwą roztopionej miedzi. Są to efekty niezwykle silne, ale szybko przemijające i dlatego nader trudne do uchwycenia.

Pociągają one jednak niezmiernie artystę zamiłowanego w pejzażu morskim, stanowiąc dlań niewyczerpaną skarbnicę.

Na studyach nad tym zmiennym, a pociągającym żywiołem trawiłem też dnie całe przez kilkutygodniowy pobyt mój na Kaszubach. Szkice, notatki, studia rysunkowe piętrzyły się coraz bardziej i składały się na wszechstronny materiał do obrazów, których treść zaczerpnąć zamierzałem z pięknej krainy kaszubskiej.

Włodzimierz Natęcx.



„ZAK“ (przeważnie do polowu wegoryz morskich) rys. Wł. Natęcx.





U ŹRÓDEŁ WISŁY. 8)

Góra Bukowa jest widzialna doskonale z doliny. Ma formę zaokrągloną i jest porośta wspaniałym lasem bukowym. Las ten jednak zasłania widok z wierzchołka. W każdym razie wycieczka na Bukowę należy do przyjemnych. Ścieżką naprzeciw kościoła katolickiego, tą samą, która z początku prowadzi do doliny Tokarni, wstępujemy pod górę, następnie skręcamy na lewo i kamienną drogą, dość stromą, dostajemy się do lasu. Na sam szczyt dla rozległego widoku niema się co wdzierać, spacerujemy więc sobie po malowniczym lesie, pomiędzy starymi, dziwacznie powykręcanyimi bukami. Przeszedłszy na drugą stronę góry, widzimy pomiędzy drzewami potężny grzbiet Wielkiej Czantoryi i okolicznych gór, zamykających dolinę Jawornicką. Jedną z licznych ścieżek zstępujemy na dół, lasem noszącym dziki charakter. Pełno tu przewróconych siekierą buków, starych pieńków, skał, kamiennych stert, jarów, na dnie których szemrzają strumyki. Ścieżka prowadzi nas do zagród włościańskich i do szosy, którą wracamy wygodnie do domu.

Wyrch Skalnity. Zaraz poza hotelem „Piast” zaczynają się zbocza góry, zwanej Wyrchem Skalnitym. Niewielka to góra ale warta zwiedzenia, z północnego bowiem jej stoku rozciąga się piękny widok na dolinę Wisły, na przełęcz, prowadzącą do Istebnej na Stożek Wielki, na dolinę Dziechcińską i wiele innych punktów. Widok jest najpiękniejszy rankiem z północnego zbocza, kiedy lewa połowa doliny tonie w blasku słonecznym. Najlepiej iść na Skalnity przez dolinę Dziechcińską. Nie jest to wprawdzie droga najkrótsza, ale za to najbardziej zajmująca.

Dochodzimy prawie do samego końca doliny, potem od domku węglarzy, przebywszy mostek, skręcamy na prawo i dostrzegamy tutaj wąską, wyrąbaną w lesie ścieżkę, po której drwale spuszczały drzewo ze Skalnitego. Ścieżką tą, dość pochyłą, dostajemy się we dwadzieścia minut na polanę. Stąd skręcamy na prawo, gdzie stoją chałupy góralskie. Niebawem znajdujemy się na samym szczycie, skąd widok jest rozległy.

Ze szczytu idziemy koło zagród góralskich ścieżką, która prowadzi ciągle na dół aż do lasu, kawałek lasem, poczem dostajemy się na pastwisko, skąd widać całą dolinę Wiślańską i Dziechcińską. Z pastwiska trochę na lewo schodzimy ścieżką, kręcącą się po zboczu do hotelu, kierując się na kościół ewangelicki.

Na wycieczkę tę starczy trzy godziny czasu.

Wycieczki na Stożek Wielki można dokonać łatwo w ciągu jednego dnia, a nawet w siedem godzin z odpoczynkiem godzinnym na szczycie.

Ze środka wsi najbliższa droga prowadzi przez dolinę Dziechcińską. Należy się dostać końmi czy też pieszo do domku gajowego. Od tego domku wchodzimy na lewo i znajdujemy ścieżkę, prowadzącą następnie pod górę lasem.

Droga ta jest niezmiernie przyjemna; stąpamy ciągle naturalnym parkiem w cieniu buków i świerków, tak, iż nawet podczas najsilniejszych upałów gorąco nie daje się nam we znaki.

W pół godziny po opuszczeniu domku gajowego, wydostajemy się na polanę, skąd trzeba zejść na prawo do ścieżki, prowadzącej dalej pod górę mimo chat góralskich. Ścieżka wije się ciągle lasem, który od czasu do czasu otwiera się i odśladnia naszym oczom coraz rozleglejsze widoki na okolicę.

Nareszcie ukazuje się nam sam szczyt Stożka, ostro zakończony i napozór bardzo spadzisty. Zbliżywszy się jednak do stóp tego ostrokręgu, spostrzegamy, że ścieżka idzie wprawdzie pochyło ale nie stromo, wijąc się dokoła góry. Ścieżką tą dochodzimy w końcu na halę, z której już mamy śliczny widok. Chcąc jednak mieć widok na wszystkie strony świata, trzeba się jeszcze wyżej wdrzeć. Ścieżka okrąży dość znacznie szczyt, ale powinniśmy zwracać uwagę na znaki, które znajdują się w drugiej połowie drogi (czerwone z białem). Znaki te biegną w górę do szczytu wzdłuż płotu na hali; tedy w kilkanaście minut docieramy do samego szczytu.

Od północnego zachodu Stożek opada stromo, w innych kierunkach nieco łagodniej. Ze szczytu niezmiernie rozległy i piękny widok, może najpiękniejszy z tych wszystkich. Oko sięga aż do równiny poza Ustroń, widzimy dobrze nam znane wierzchołki ku północy: Cieślara, Skalnitego Wyrchu i Czantoryi, na wschód Koziońca i Głębcza, na południe, Kyrkawicy i Kiczory. Ku połud. zachodowi i zachodowi rozciąga się dolina rzeki Olzy, nad którą leży sąsiedni Jabłonków, stolica górali.

Okolice w dali na wszystkie strony, po sinych grzbietach, po świecących w słońcu halach, po wyglądających jak nieznaczne punkciki osadach góralskich.

Warto na szczycie Stożka Wielkiego spędzić godzinę czasu, żeby nasycić zmysły krajobrazem, ukazującym nam Beskidy w całej ich krasie.

Najlepiej jest wracać do Wisły tą samą drogą, którą się przybyło. Kto jednak pragnie przy sposobności zwiedzić Jabłonków, ten powinien ze Stożka



kierować się na razie prosto ku południowi, trzymając się czerwonych znaków, dotrzeć grzbietami górskimi na Kiczorę, prawie tak samo wysoką jak Stożek; stamtąd ścieżka zwraca się ku zachodowi—na południe od Groniczka,—przekracza potok, dopływający do Olzy, szosę i stajemy w Jabłonkowie.

Jabłonków jest bardzo starożytnym miasteczkiem, leżącym przy starej drodze handlowej ze Śląska na Węgry. W siedemnastym wieku jeszcze miasteczko to było obronne i rządziło się prawem magdeburskim. Ucierpiało ono mocno podczas wojny trzydziestoletniej. Pamiętne przejściem Jana Kazimierza, króla polskiego, wracającego w 1665 r. przez Węgry do Polski. Przed dziesięciu laty zniszczył je pożar. Obecnie Jabłonków liczy zaledwie 3500 mieszkańców. Godne uwagi

są domy starożytne w rynku (budynki drewniane). W Jabłonkowie urodził się poeta samouk, Adam Sikora, z zawodu tkacz, piszący po polsku. Umarł w 1870 r. Okolice Jabłonkowa są bardzo malownicze. W kierunku południowo-wschodnim widzimy górę Girową (819 m.), stojącą samotnie i posiadającą nagi szczyt, z którego ku północy mamy rozległy widok i skąd możemy widzieć prawie całą dolinę Olzy za Cieszyn, a na wschód poza Istebnę.

Należy jednak zaznaczyć, że od Jabłonkowa na Girową jest ze sześć klm. drogi. Ktoby więc zapragnął nacieszyć się słynnym widokiem z tej góry, ten niech najlepiej przenocuje w Jabłonkowie, rano nazajutrz wyprawi się na Girową, wróci do miasteczka i stąd pojedzie koleją do Cieszyna, z Cieszyna zaś przez Golezów i Ustroń wróci do Wisły.

(CDN)

Władysław Umiński.



Śląsk Cieszyński w świetle najnowszych badań.

O Śląsku Cieszyńskim wiemy naogół niewiele. Ta prastara dzielnica piastowska, oderwana od pnia macierzystego zaraz w pierwszych wiekach istnienia państwa polskiego, żyła swem życiem oddzielnym, odrębnym. Wielkie chwile dziejowe, które przeżywała Rzeczpospolita, nie ogarniały nigdy Śląska, to też z czasem ślązacy zatracili w dużym stopniu poczucie swej polskości, na co mieszkańcy innych dzielnic polskich odpowiedzieli im całkowitem zapomnieniem. Dopiero od kilkudziesięciu lat pojawiają się w naszej prasie artykuły o Śląsku, wywołane ruchem narodowościowym, jaki się tam ostatnimi czasy rozbudził; od czasu do czasu udaje się nam słyszeć dzieje Śląska z ust ludzi osobiście znających tamtejsze stosunki (np. odczyt p. Warcholika na zebraniu Polsk. Tow. Krajoznawczego). Jednakże to wszystko nie może nam dać dokładnego pojęcia, jaka jest ta ziemia, a głównie, jakie tam rzeczywiście stosunki panują. Istnieje kilka obszerniejszych broszur o Śląsku Cieszyńskim, lecz są to rzeczy przeważnie przestarzałe, nie dające absolutnie pojęcia o życiu współczesnym Śląska. Dopiero pod koniec 1910 r. ukazała się książka p. Mieczysława Jarosza, p. t. „Śląsk Cieszyński”, wypełniająca tę dotkliwie dającą się uczuć lukę w naszej literaturze krajoznawczej. Książka ta daje nam bardzo dokładny i wierny, oparty przeważnie na dokumentach urzędowych

obraz kraju i jego obecnych stosunków społecznych i ekonomicznych.

Śląsk Cieszyński, obejmujący 2300 klm.² tworzy prawie regularny czworobok, z południa i wschodu opiera się o góry, od zachodu rzeka Ostrawica oddziela go od Moraw, a na północy łączy się on bezpośrednio ze Śląskiem pruskim. Wschodnia i południowa część Śląska Cieszyńskiego, rozłożona na stokach Beskidów, posiada duże gęste lasy, poprzecinane licznymi halami, a poniżej bardzo urodzajną glebę—less. Strona zaś północno-zachodnia jest bardziej uposażona w skarby mineralne — mianowicie w węgiel. Zagłębie Śląskie pod względem produkcji węgla zajmuje w państwie austriackim pierwsze miejsce; w r. 1908 wydobyto 14,320,850 metrycznych cetnarów węgla, a więc 52.7% produkcji całej Austrii. W związku z kopalniami węgla rozwija się tu i hutnictwo. Oprócz tego rozwinął się tu jeszcze przemysł ziemny, kamieniarski, cegielnie, fabryki terakoty, kamieniołomy piaskowca karpackiego, przemysł metalowy w Cieszynie, Bielsku i Frydku i t. p. Jest to wszystko przemysł wielki, jednak nie brak też i chałupnictwa, którem trudnią się jedynie polacy; w Cieszyńskim wytworzył się nawet pewnego rodzaju narodowy przemysł domowy: hafty na aksamicie, czepki, koronki, sukno i t. d. Cały



ten przemysł ześrodkował się w części zachodniej Śląska Cieszyńskiego między Ostrawą a Karwiną i nadał tej części kraju charakter specjalny, odbijający się i na stosunkach społecznych i ekonomicznych.

Uwarstwienie narodowościowe jest tu takie: u góry wielki kapitał niemiecki, gdyż właścicielami kopalń są Niemcy; wszelkie urzędy obejmują — czesi, i dopiero na samym dole szarą masę robotniczą stanowią Polacy.

Dzięki takiemu bogactwu skarbów mineralnych Śląsk stał się krajem czysto przemysłowym; rolnictwo odgrywa tu rolę podrzędną, zaledwo 34.95% ludności zajmuje się uprawą roli. Wnosząc z procentowego podziału gospodarstw ziemskich — najliczniejsze są gospodarstwa drobne od 0,5—2 hektarów, stanowiące 59.08%; jednakże nie należy uważać ich za typowe dla Śląska; są to gospodarstwa niesamodzielne, należące po większej części do górników, dla których stanowią rodzaj zapomogi do ich stałego zarobku. Jako typowe trzeba wziąć gospodarstwa rolne 2—5 hektarowe, stanowiące 21,74%; są też i gospodarstwa trochę większe 5—20—100 hek. Właścicielami tych małych gospodarstw są przeważnie chłopcy śląscy, zwani powszechnie „siedlakami”.

Nad tą masą drobnych gospodarstw rolnych wznosi się wielka własność ziemską, skupiona w ręku kilku magnatów. Pierwsze miejsce między nimi zajmuje arcyksiążę Fryderyk, którego dobra w 1898 r. obejmowały 28% powierzchni Śląska Cieszyńskiego, a od tamtej pory znacznie wzrosły. Drugim z rzędu magnatem jest hr. Larisch-Mölich, posiadający 11.673 ha. ziemi śląskiej.

I w rolnictwie widzimy mniej więcej to samo uwarstwienie społeczne, co i w przemyśle. Wielki kapitał rolniczy należy do Niemców, wyższe urzędy są obsadzone w części przez Niemców, w części przez Czechów, a Polacy stanowią proletaryat rolny i drobnych właścicieli ziemskich. Kilkanaście ostatnich lat jednak wykazały jakiś żywszy ruch emancypacyjny między pracownikami rolnymi. Rolnik śląski jest z usposobienia konserwatystą, trudno mu się zdobyć na jakąś inowację, — to też dopiero w ostatnich czasach powstały dwie instytucje kredytowe polskie: „Tow. oszczędności i zaliczek w Cieszynie” i „Bank rolniczy we Frysztaście”; wiodą one żywot suchotniczy i nie mogą w zupełności zadośćuczynić swemu zadaniu, gdyż posiadają ku temu za mało kapitały i za mało członków.

Z tego wszystkiego, co wyżej powiedziano, wiadać, że ludność polska jest upośledzona tak pod względem ekonomicznym jak i pod względem społecznym; i w przemyśle i w rolnictwie tworzy ona prawie wyłącznie proletaryat robotczy. Jaki też jest liczebny stosunek tej ludności upośledzonej do in-

nych narodowości, zamieszkujących Śląsk? Może to podrzędne stanowisko należy się jej jako mniejszości, z którą niema się co liczyć.

Według spisu urzędowego z r. 1900 Śląsk Cieszyński liczył 361.015 ludności; w tem

Niemców	56240	15,2%
Czechów	83553	23,7%
Polaków	218869	[60,9%
Innych	353	

Ze spisu tego wynika, że Polacy są ludnością liczebnie panującą na Śląsku. W życiu ekonomicznym kraju, jak widać ze wszystkiego wyżej powiedzianego, ludność polska nie ma prawie żadnego znaczenia. To samo dzieje się i w życiu społecznym i politycznym. Do sejmiku krajowego na 30 posłów wybieralnych 24 jest niemieckich.

Zobaczmy teraz, jakie prawa posiada ta ludność; może są one dla wszystkich mieszkańców jednakowo względne, a tylko Polacy nie umieją lub nie chcą z nich korzystać? Jednym z najważniejszych praw, jakie się człowiekowi należą — jest możliwość kształcenia się w swoim języku ojczystym. Jak też pod tym względem są zaspokojone potrzeby ludności polskiej?

Według wykazów urzędowych było w r. 1906 w Ks. Cieszyńskim 320 szkół. Z powyższej liczby przypadają na szkoły publiczne ludowe 278, publiczne wydziałowe 13, prywatne ludowe 23, prywatne wydziałowe 3, ćwiczeniowe 3. W tem było szkół polskich z wykładowym językiem polskim — 153, dla ludności stanowiącej 60,9% mieszkańców.

Szkół czeskich było 62 dla 23,7% ludności.

Szkół niemieckich — 32 dla 15,2%.

Tutaj jeszcze trzeba zaznaczyć, że Polacy i Czesi nie posiadali w r. 1906 ani jednej szkoły ludowej VI i VII klasowej; Polacy tylko 18, a Czesi — 20 pięcioklasowych.

Niemcy zaś posiadali 21 szkół pięcioklasowych i 5 szkół 7 klasowych. A zatem dwustutysięczna przeszła ludność polska na Śląsku Cieszyńskim nie posiada ani jednej wyżej zorganizowanej szkoły ludowej!

Nie lepiej przedstawia się szkolnictwo średnie. Do r. 1909 ludność polska na Śląsku nie posiadała ani jednej szkoły wydziałowej polskiej. Dopiero w 1910 r. w Dąbrowie w Zagłębiu węglowym powstała pierwsza szkoła wydziałowa z językiem wykładowym polskim. To samo widzimy i co się tyczy gimnazjum, szkół realnych, seminarium i t. p. 218,869 Polaków posiadała doniedawna jedyne polskie gimnazjum w Cieszynie i równoległe oddziały polskie przy niemieckim seminarium nauczycielskim. W tym samym czasie 85,553 Czechów posiada jedną szkołę średnią i seminarium nauczycielskie w Polskiej Ostrawie, a 56,240 Niemców ma 9 zakładów naukowych średnich (3 gimnazya, 2 wyższe szkoły



realne, 3 seminaria nauczycielskie i 1 szkołę przemysłową wyższą). Przytem trzeba zaznaczyć, że zakłady naukowe niemieckie są już to rządowe, już to silnie subwencyjonowane przez rząd, gdy tymczasem szkoły polskie powstają z prywatnej inicjatywy i dzięki staraniom Macierzy Szkolnej. W ostatnich dopiero czasach szkoły polskie są upamiętniane. Tutaj wypadnie zaznaczyć fakt smutnie świadczący o uświadomieniu narodowem ślązaków. Oto do jedynego gimnazjum polskiego w Cieszynie uczęszczało zaledwie 300 uczni (w roku 1907—1908).

Z tego wszystkiego widać wyraźnie, jak ludność polska jest upośledzona pod względem szkolnictwa—większość dzieci polskich musi się kształcić już to w szkołach niemieckich, już to w szkołach utrakwistycznych polsko-niemieckich, których zadaniem jest możliwie szybkie wynaradawianie. Rząd zaś nietylko nie troszczy się o polepszenie tych stosunków, ale wprowadza coraz nowe obostrzenia; tak na przykład nauczycielom, kończącym parallelki polskie, odmówiono prawa wykładania w szkołach polsko-niemieckich. Oprócz tego istnieją na Śląsku prywatne towarzystwa niemieckie, mające na celu germanizację Śląska. Najsilniejszy jest „Schulverein”, znany w całym państwie austriackiem, rozporządzający milionami koron i nieszczędzący pieniędzy na zakładanie szkół niemieckich nawet w osadach czysto polskich. Drugie towarzystwo „Nordmark” prowadzi podbój ekonomiczny ludności polskiej. Jako przeciwdziałanie tym dwu wrogim ludności polskiej stowarzyszeniom posiadamy jedynie „Macierz Szkolną Ks. Cieszyńskiego”.

Dzielnie krząta się ona; w 1908-9 r. utrzymywała 6 szkół ludowych w gminach zalanych nawałą germanizacyjną, w 1909-10 otworzyła w Cieszynie szkołę wydziałową i nareszcie najważniejszym jej czynem było założenie szkoły realnej w Orłowie, samem centrum Zagłębia śląskiego. Założenie tej szkoły dało silne podstawy ruchowi emancypacyjnemu ludności polskiej w Zagłębiu, opanowaniem przez Czechów i Niemców.

I tak na każdej ze 172 stronicy spotykamy przykłady ucisku i upośledzenia ludności polskiej. Niestety, ślązaków spotyka nietylko ucisk społeczny i ekonomiczny, ale co gorsza i ucisk narodowościowy. Szczególniej zaciętymi pod tym względem są Czesi, to też walka między Czechami a Polakami nie na żarty. Czesi uważają Śląsk za swój

z dwu powodów: 1-o na mocy praw historycznych, gdyż Śląsk XIII stulecia należał do królestwa czeskiego, 2-o na tej zasadzie, że ludność Śląska mówi jakoby po czesku, a więc, co za tem idzie, jest czeską. O prawach historycznych niema co mówić, gdyż należy ono bezsprzecznie do zabytków archiwalnych.

Co zaś do języka, jakim mówią ślązacy, to badania rozmaitych poważnych uczonych, tak czeskich jak polskich, np. prof. Nitscha, wykazały, że jest on polskim, tylko w gminach pogranicznych zepsuty pewną przymieszką morawskiego. Jednakże te naukowe argumenty nie mogą powstrzymać zaborczych zakusów patriotów czeskich, którzy gwałtem narzucają ludności miejscowej swą narodowość. Nieszczęściem dla nas udaje im się to często aż nazbyt dobrze; dowodem tego choćby ostatni spis ludności, gdzie spotykamy miejscami taki wzrost ludności czeskiej:

	Polacy 1910—1900	Czesi 1910—1900
Dziemorowice	751—2368	2655—343
Sucha Dolna	1225—840	908—609
Orłowa	2576—3916	5238—2333

Gminy te, jako posiadające oficjalnie większość czeską, nie mogą nawet marzyć o szkole polskiej, o używalności języka polskiego w urzędach—są zupełnie oddane na pastwę Czechom. Jednakże jest to zło, które można zwalczyć, trzeba tylko wyczerpać wszelkie siły ku temu, aby jak najszybciej rozbudzić u ludu świadomość swej narodowości i dlatego trzeba się starać, ażeby wszystkie gminy posiadały odpowiednią ilość szkół polskich, ażeby można było odebrać dzieci polskie z obcych duchem wynaradawiających szkół niemieckich i czeskich. Lecz nie dość jest lud ten oświecić, jeszcze trzeba dać mu możność wyswobodzenia się z zależności ekonomicznej od kapitału niemieckiego, a więc popierać wszelkimi sposobami polskie instytucje finansowe. Robota w tym kierunku jest już podjęta, najgorzej widać w przemyśle Zagłębia śląskiego, gdyż zależność ekonomiczna najbardziej się odczuć daje robotnikowi; dużo słabiej posunięte jest uświadomienie narodowe w sferze rolniczej. Miejmy też nadzieję, że słowa, które teraz dają się słyszeć dosyć często „my nie Polaki, my Ślązaki”, zamienią się wkrótce na „ślązacy—Polakami”.

R. D.





Listy do Redakcyi.

Szanowny Panie Redaktorze!

Będąc teraz czasowo we Zwiąhlu, wskutek kilku artykułów „Ziemi” o *azalia pontica* starałem się na miejscu poznać jej siedliska. Za południową granicę różanecznika można uważać wieś Czyżówkę o 10 wiorst na północ od Zwiąhla na drodze emilczyńskiej, stąd azalia gęsto jest rozkrzewiona po lasach. Zwiedziłem Emilczyn, Pilawin i lasy rządowe Michejowskie u zlewu Ceremu do Słuczy. Wszędzie znajdowałem jej dwa gatunki obok siebie: kwiat koloru kanarkowego i kwiat koloru ciemniejszego, wpadający nieco w pomarańczowy. Ani różowego, ani białego kwiatu nigdzie nie znajdowałem. Kielich kwiatu jest jednostajny: górne 3 listki są więcej przyległe do siebie, niż dolne. Według słów paru chłopów z okolic wsi Katerynówki spotyka się tam różową azalję, lecz dostać takiej nie udało mi się, choć im obiecywałem duże wynagrodzenie. Koloniści niemcy wykarczowują azalję niemilosiernie. Według ś. p. Sobkiewicza dochodziła ona niegdyś do Żytomierza, wówczas gdy dziś najbliżej jest od Żytomierza wiorst około 40 w Horoszkach. Kwitnie cały miesiąc od 8 maja starego st. aż dotąd do czerwca. W Galicyi Zachodniej w Woli Zarczyckiej w powiecie leżajskim jest jeden jej krzak, okolony żelazną kratą z napisem, że to rzadkość.

Dr. Chobryński.

□□□□□□□□

Z Polskiego Tow. Krajoznawczego.



Wycieczka piesza 5 uczni szkół warszawskich pod przewodnictwem wiceprezesa Pol. Tow. Krajoznawczego M. Wisznickiego z Warszawy do Zakopanego przeprowadzona została podług zakreślonego z góry

programu z zupełnym powodzeniem. Dzięki troskliwemu opracowaniu szczegółowej marszruty, uprzedniemu porozumieniu przez korespondencję z całym szeregiem osób i drobiazgowym przygotowaniom — udało się wykonać cały przemarsz w ściśle oznaczonym z góry czasie bez poważniejszych przeszkód. Nawet czterokrotne wypadki zasłabnięcia uczestników (przypadłości żołądkowe, angina i róża w nodze), nie zdołały wpłynąć na zmianę marszruty, i ostatecznie wszyscy doszli na miejsce w oznaczonym czasie w komplecie i zdrowo, a co więcej, wszyscy z przybytkiem wagi: jednemu przybyło — 1 f., jednemu — 2 f., dwum po 4 f., jednemu 7 f. i jednemu — 13 funtów!! Stało się to z pewnością dlatego, że dzięki uprzejmości i gościnności ludzi życzliwych sprawie krajoznawstwa wycieczka miała zapewnione niemal wszystkie wygodne noclegi, a w większości wypadków i suty posiłek. Co ważniejsze jednak, dzięki tej pomocy właśnie zdołano zgromadzić sporo materiału krajoznawczego w zdjęciach fotograficznych, rysunkach, notatkach,

nie licząc niezatartych z pewnością do końca życia wrażeń — za co kierownik wycieczki poczytuje sobie za miły obowiązek wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do powodzenia wycieczki — złożyć jeszcze raz na tem miejscu gorące podziękowanie tak w imieniu uczestników wycieczki, jako też w imieniu Towarzystwa Krajoznawczego.

Gruba koszulka wełniana trykotowa do stroju sportowego okazała się bardzo praktyczna tak na upały jak i na chłód w górach; buty płócienne również wytrzymały doskonale nie tylko drogę do Zakopanego szosą, ale i wycieczkę przez Zawrat do Morskiego Oka. Bagaż niezbędny, zawarty w worku podróżnym, ważył u każdego uczestnika 18—19 funtów; jedynie worek przewodnika, dzięki zapasowi błon fotograficznych i przyborów rysunkowych wyniósł 23 f.; jak się okazuje, nie był to jednak ciężar nad siły. Pod względem krajoznawczym wycieczka została przygotowana w ten sposób, że każdy z młodzieży wynotował ze Słownika geograficznego lub innych źródeł wiadomości, dotyczące miejscowości (miast, wsi, gór, rzek), położonych na przeznaczonej mu do opracowania części szlaku wycieczki. Przy zbliżaniu się zaś następnie do danej miejscowości — notatki takie były odczytywane głośno i uzupełniane szczegółami zdobytymi na miejscu lub własnymi spostrzeżeniami. Gdzie się dało, prowadzono obserwacje geologiczne i biologiczne. Pogoda przez cały czas trwania wycieczki dopisywała stale; zaś ku pochwałę uczestników zaznaczyć trzeba, że nie było wypadku wykroczenia przeciwko wielkiej naprawdę karności, ani wogóle najmniejszych nieporozumień.

Koszty wycieczki wypadły cokolwiek mniejsze, niż przewidywane 35 rb. na osobę.

Przebieg wycieczki był następujący:

22 czerwca, czwartek. Wymarsz z lokalu Tow. Krajoznawczego koło g. 9 rano — przez rogatki Jerozolimskie, Ochotę, Raków, Raszyn (oglądano pole bitwy, pomniki, kościół), Falenty (ob. pałac — odpoczynek i obiad w parku), Sękocin, Mroków, Szczaki — nocleg u pp. Orsetich. Na miejscu o 7¹/₂ wieczorem. Marsz dzienny 25 wiorst.

23 czerwca, piątek. Rano zwiedzanie Wólki Prackiej d-ra Palmirskiego (wyrób surowic leczniczych, hodowla królików i świnek morskich i białych myszy), dalej przez Prace małe, Gąski, Brominy do Kopanej — u pp. Leszczyńskich obiad (zwiedzanie gospodarstwa, sadu, suszarni warzyw, fabryki win owocowych i t. d.), dalej szosą do Grójca — nocleg w Klubie miejskim dzięki uprzejmości członka-korespondenta Towarzystwa, p. Piotrowskiego. Na miejscu o 7¹/₂ w., marsz dzienny 20 wiorst.

24 czerwca, sobota. Zwiedzanie Grójca, kościoła i folwarku Skargi — dalej szosą. W Turowicach u pp. Zielińskich obiad. Nocleg u pp. Jackowskich w Promnie pod Białobrzegami. Na miejscu o 8¹/₂. Marsz dzienny 23 w.

25 czerwca, niedziela. Rano kąpiel w Pilicy, Białobrzegi, szosą przez Gózd, Jedlankę (odpoczynek i posiłek u pp. Trzczińskich), Jedlińsk, Wsola, Radom. (Zwiedzanie muzeum Oddziału radomskiego). Nocleg u ks. Wiśniewskiego, członka Zarządu Oddziału. Na miej-



scu o 10 w. —marsz 36 w.—b. ciężki, z powodu nadzwyczajnego upału.

26 czerwca, poniedziałek. Zwiedzanie staro Radomia i kościołów pod kierunkiem ks. J. Wiśniewskiego — o 12 wymarsz dalej szosą przez Makowiec, Skaryszew, Modrzejowice (gospodartwo rybne, eksploatacja torfu; odpoczynek i posiłek u p. Grobickiego); Ilża—nocleg u ks. Ciesielskiego na plebanii. Na miejscu o 8 $\frac{1}{2}$. Marsz dzienny 28 wiorst. Pod Ilżą krótka ulewa ze straszną nawałnicą.

27 czerwca, wtorek. Zrana padał deszcz, ale około 10 ustał. Zwiedzanie ruin zamku itżeckiego, kościół;—po obiedzie na plebanii ruszono dalej—przez Seredzice, Mirzec — o 8 w Wąchocku. Nocleg w szkole p. Skąpskiego. Marsz dzienny 18 w.

28 czerwca, środa. Zrana pada deszcz, ale rychło ustaje. Zwiedzanie opactwa cystersów, kościoła i łomów czerwonego piaskowca p. Budkowskiego. Dalej przez Rataje (wypoczynek i obiad u pp. Kraszewskich), lasy rządowe, Bronkowiec, Tarczek, Grabowczyk, Zarzecze, Baszowice do Nowej Słupi. Na miejscu o 11 $\frac{1}{2}$ —nocleg w zajeździe Purskiego. Marsz dzienny 28 wiorst.

29 czerwca, czwartek. Upał. Przez Św. Krzyż (zwiedzanie klasztoru, wejście na wieżę, rozejrzenie się w okolicy) i przez góry do Św. Katarzyny. Nocleg w schronisku. Marsz dzienny 14 w.

30 czerwca, piątek. Wypoczynek—pranie bielizny i wycieczka do Bodzentyna (ruiny zamku, kościół, domy drewniane, pokłady piaskowca) — nocleg w schronisku. Marsz dzienny 14 w.

1 lipca, sobota. Rano marsz przez Krajno i górę Radostową do Mąchocic (wypoczynek i obiad u pp. Goebłów). Wycieczka na szczyt góry „Wielki Kamień”, dalej przez Kopciową Wolę, Domaszewice do Kielc. (zwiedzenie muzeum Oddziału kieleckiego Tow. Krajoznawczego—nocleg w Szkole Handlowej). Na miejscu o 7 w. Marsz dzienny 22 w.

2 lipca, niedziela. Rano zwiedzanie b. pałacu biskupiego i katedry — dalej przez Karczówkę (klasztor), Białogon, Słowik, Chęciny (kościół, ruiny zamku, łomy marmurów), Podzamcze (stary śpichrz, brama wjazdowa), szosą do Jędrzejowa; nocleg u pp. dr. Przypkowskich (obserwowanie przez teleskop księżycy i Jowisza). Na miejscu o 9—marsz dzienny 36 wiorst.

3 lipca, poniedziałek. Rano zwiedzanie muzeum Oddziału Jędrzejowskiego, kościoła i klasztoru cystersów—po obiedzie u pp. Przypkowskich marsz dalej przez Wodzisław do W. Książa — nocleg udzielony przez zarządzającego dobrami margr. Wielopolskiego p. Amuro. Na miejscu o 9 w. — marsz dzienny 30 w.

4 lipca, wtorek. Oglądanie pałacu Wielopolskich w W. Książu i kościoła — marsz przez Miechów (klasztor bożogrobców), Falniów do Przybysławic — nocleg u pp. Koźłowskich. Na miejscu o 8 w.—marsz dzienny 24 w.

5 lipca, środa. Dalej przez Szreniawę, Trzebień, Budzyń, Porębkę, Trzyciąż (przystanek z powodu krótkiego deszczu), Sułoszową do Pieskowej Skály (zamek). Nocleg w szopie na sianie. Na miejscu o 5 pp. Marsz 22 w.

6 lipca, czwartek. Przez Grodzisko (kościół) doliną Prądnika do Ojcowa (zwiedzanie grot i góry Cheł-

mowej). Nocleg w hotelu pod Lokietkiem. Wypoczynek, pranie bielizny. Marsz dzienny 6 wiorst.

7 lipca, piątek. Przez Biały Kościół, Szyce, Bronowice, Krowodrże do Krakowa. Na miejscu o 7 w. Marsz dzienny 16 wiorst. Zwiedzanie powierzchni miasta i Wawelu. Nocleg w domach prywatnych dzięki uprzejmości i pomocy członków Towarzystwa: pp. Warchołika, Kołodziejczyka i Wolskiego.

8 lipca, sobota. Przez Podgórze do Wieliczki (zwiedzanie kopalni soli przy wielkiem oświetleniu i muzeum górniczego) i dalej do Niepołomic. Nocleg w wydziale „Sokoła”. Na miejscu o 8 w. Marsz dzienny 24 klm.

9 lipca, niedziela. Zwiedzanie zamku i kościoła w Niepołomicach, spyanie kopca grunwaldzkiego, dalej przez Bochnię (odpoczynek i posiłek u pp. Warchołików—obejrzenie w przejściu miasta) do Starego Wiśnicza. Nocleg u ks. proboszcza Ratowskiego. Na miejscu o 9 $\frac{1}{2}$ w. Marsz dzienny 27 klm.

10 lipca, poniedziałek. Zrana deszcz — rychło jednak ustał — skutkiem gliniastego gruntu droga do południa błotnista. Po zwiedzeniu kościoła w Starym Wiśniczu, zamku i b. klasztoru dalej przez Lipnicę (kościółek z 1203 r.), Iwkowę, Wytryszczkę w dolinę Dunajca do Tropia. Nocleg u ks. proboszcza Kobieli. Na miejscu o g. 9 $\frac{1}{2}$ — marsz dzienny 22 klm.

11 lipca, wtorek. Zwiedzanie Starego Kościoła, okolic Tropia i ruin zamku Tropsztyna. Dalej doliną Łososiny do Tęgoborzy — nocleg u ks. proboszcza Figla. Na miejscu o 6 w. Marsz dzienny 17 klm.

12 lipca, środa. Z Tęgoborzy doliną Dunajca do Nowego Sącza; w drodze pierwszy raz wdali ukazały się Tatry. W Nowym Sączu wypoczynek i posiłek u pp. Miczyńskich. U dr. Dudzińskiego musiał zostać na kuracyi jeden z uczestników, chory na różę. W Starym Sączu zwiedzanie klasztoru i miasta. Nocleg u p. Rychter-Janowskiej. Na miejscu o 6 w. Marsz dzienny 21 klm.

13 lipca, czwartek. Ze Starego Sącza przez Łącko do Krościenka. Nocleg u górala na słomie. Na miejscu o 8 w. Marsz dzienny 35 klm.

14 lipca, piątek. Rano na szczyt Trzech Koron, stamtąd do Czerwonego Klasztoru, łodziami przez Pieniny. Zwiedzenie Szczawnicy — przez Krościenko, Krościenicę (cała wieś chaty kurne) do Czortszyna. Nocleg w oberży na sianie. Na miejscu o 7 w. Marsz dzienny 26 klm.

15 lipca, sobota. Zwiedzanie ruin Czortszyna i Niedzicy. Dalej przez Maniowy (stary kościółek na cmentarzu), Dębno (b. stary kościół), Harklowę do Nowego Targu. Nocleg w prywatnych domach dzięki opiece prof. S. Udzieli i inspektora Lipeckiego. Na miejscu o 7 i pół. Marsz dzienny 24 klm. Przyłączył się do wycieczki pozostawiony w Nowym Sączu chory—już zdrow obecnie.

16 lipca, niedziela. Z Nowego Targu przez Szafłary, Biały Dunajec, Poronin do Zakopanego. Na miejscu o 4 $\frac{1}{2}$, marsz dzienny 24 klm. Nocleg w szkole ludowej.

17 lipca, poniedziałek. Zwiedzanie Zakopanego, muzeum, wycieczka do doliny Kościeliskiej. Marsz dzienny 25 klm.



18 lipca, wtorek. Przez Zawrat do Morskiego Oka, pod przewodnictwem pp. Maryli i Stanisława Mierczyńskich. Nocleg w Schronisku Tow. Tatrzańskiego. Na miejscu o 8 w. Marsz dzienny 35 klm. Od początku zaś wycieczki 619 w.

12 lipca, środa. Wycieczka do Czarnego Stawu nad Morskim Okiem i powrót szosą do Zakopanego. Nocleg u pp. Mierczyńskich. Na miejscu o 6 w. Marsz 35 kilometrów.

20 lipca, czwartek. Koleją do Krakowa. Zwiedzanie kościołów. Nocleg w szkole wydzielowej (przez koło akademickie T. S. L.).

21 lipca, piątek. Zwiedzanie muzeów i Wawelu. Nocleg w szkole.

22 lipca, sobota. Powrót przez Tonie, Szyce, Biały Kościół do Ojcowa. Na miejscu o g. 5 w. Marsz 16 w. Stąd końmi do Olkusza, — skąd koleją każdy w swoją stronę. Ogółem w ciągu całej wycieczki zrobiono pieszo w ciągu miesiąca przeszło 650 w.

Bądź co bądź ta pierwsza próba wycieczki wyłącznie pieszej powinna zachęcić do przedsięwzięcia podobnych wycieczek częściej. Z całą pewnością stwierdzić należy, że każdy liczyć może i na własne siły i na najżyyczliwszą pomoc całego społeczeństwa.

□□□□□□□□□□

Z piśmiennictwa.

Podobnie jak lat poprzednich jest „Taternik” dokładnym wyrazem samodzielnej, twórczej turystyki tatrzańskiej. Jesteśmy bowiem w ubiegłym lat dziesiątku świadkami zasadniczej zmiany w charakterze taternictwa: dawniej bierne, pozostawiające pole do samodzielnej odkrywczej działalności przewodnikom „synom gór”, staje ono stopniowo do czynnego współpracownictwa z nimi; przejmując wyrobione pokoleniami instynkta górskie przewodników, wzbogacając je dojrzałą techniką alpinistyczną, młodzi taternicy stają się zdolni do dokonania samodzielnego „czynu taternickiego”. I zaczyna się długi szereg nowych zdobyczy, nowych odkrytych szczytów, pierwszych wejść: długi szereg czynów, w których urabia się i doskonalą technika taternictwa. Przewodnicy stają się współtowarzyszami, pożądanymi, lecz

nie niezbędnymi: jako pierwszy warunek prawdziwego „czynu taternickiego” wysuwa się bezwzględna samodzielnosc.

Wyrazicielem i kronikarzem tak pojmanego taternictwa jest od lat 4 „Taternik”, który podaje szczegółowe opisy szczytów i turni zwiedzonych po raz pierwszy i dróg nowych, prowadzących na szczyty już odkryte; opisy te, to przede wszystkim materiał turystyczny pierwszorzędnej wartości, zachęcający do powtarzania dróg przebytych, poza tem — materiał topograficzny do głębszej znajomości Tatr. Do takich zaliczyć należy z ostatniego rocznika artykuły: W. Goetla „Mnich w ziemie”, dr. G. Komarnickiego „Na turniach Kończystej”, M. Świerza „Daleką Granią”; prócz artykułów tych o charakterze literackim, dających miejsce osobistym wrażeniom autorów, dział omawiany zawiera długi szereg ścisłych, obiektywnych opisów p. t. „Nowe drogi”; są one najlepszym odzwierciedleniem działalności taternickiej członków sekcji, najlepszym wyrazem intencji i celów „Taternika”.

Charakter „sportowo-współzawodniczy”, jakiego nabyło taternictwo lat ostatnich dzięki wysokiemu stanowi techniki górskiej, znalazł swój wyraz w obszernej dyskusji, prowadzonej na temat „oceny trudności dróg tatrzańskich”. Poruszona przez p. R. Kordysa sprawa ta znalazła komentatorów w osobach pp. J. Chmielowskiego, J. Żuławskiego, M. Świerza, ks. J. Kudły. Tematem jej — ułożenie ogólnie obowiązującej skali trudności, która pozwoliłaby na obiektywne szeregowanie dawnych i nowo przebytych dróg i wejść tatrzańskich.

Kronika wypadków roku ubiegłego zamieszcza szczegóły katastrofy na Małym Jaworowym; pamięci niezapomnianego Klimka Bachledy poświęca p. J. Chmielowski obszerny życiorys.

Dział ściśle kronikarski stanowią dwa „zestawienia wycieczek zimowych”, oraz szczegółowy wykaz wycieczek członków sekcji turystycznej.

Wykraczając poza swoją nazwę, „Taternik” zamieszcza dwa artykuły, poświęcone Alpom Transylwańskim i opisowi wyjścia na Kilimandjaro.

Wreszcie omawianie spraw Sekcji, wiadomości z sezonu, oceny wydawnictw literatury alpinistycznej i artystyczne ilustracje dopełniają całości rocznika.

K. Wernik.

Od Administracji.

Przypominamy Sz. Czytelnikom, że czas odnowić przedpłatę na II półroczę.

TREŚĆ: S. Matusiak.—Soboty i sobótki.—Dwory, zamki i pałace. Adolf Dygasiński.—32. Zamek w Będzinie (z 3 ryc.);—Włodzimierz Nalecz.—W Jastarni (z 6 ryc.); Władysław Umiński.—U źródeł Wisły; R. D.—Śląsk Cieszyński w świetle najnowszych badań.—Listy do redakcyi.—Z Polskiego Tow. Krajoznawczego.—Z piśmiennictwa.

Winietę tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki.—Odbito w tłoczni Piotra Laskauera.—Składał i łąkał Edward Gzlk.—Odbijał na maszynie Aleksander Grzegolowski.—Kłisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki.—Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwiec